

Ewa Pobłocka

forte-piano

forte.

Ewa Pobłocka

-piano

słowo/obraz terytoria

Moim córkom

Ewie i Marysi

drodzy słuchacze i czytelnicy!

Okazuje się, że pisałam od zawsze – listy, pamiętniki, notatki z podróży. Aż nadszedł czas, gdy pierwszy raz moje słowa zostały wydrukowane. Było to w 2011 roku. Gdyński kwartalnik „Bliza” zamieścił na swoich łamach *Dzienniki japońskie* w kilku odcinkach. Pochodziły one z czasu, kiedy przez wiele miesięcy przebywałam w Kraju Kwitnącej Wiśni. Później znalazłam się – zdumiona tym wyróżnieniem – w kilku tomach „Zeszytów Literackich”. Wreszcie pojawiły się publikacje w „Wyspie” i gdańskim „Autografie”. I tak oto kielkowała myśl: „Może by tak pokusić się o wydanie książki?”.

Kiedyś moja młodsza córka zapytała: „Mamo, właściwie po co ty piszesz...?”, a starsza jej odpowiedziała: „Żebyśmy my wiedziały, co mama robiła”. Nie umiałam opowiadać swoim dzieciom. Co innego usiąść przy biurku kolejnego hotelu i odwracając uwagę od swojej samotności, zapisywać wrażenia. Lubię, kiedy jedynym dźwiękiem wokół mnie jest szelest kartek i pociągnięcie piórem.

Znajdą tu Państwo wspomnienia, rozważania, pytania, zachwyty, podziw, rzadko rozczarowanie. Ta książka nie jest dla mnie końcem pewnego etapu w życiu, ale początkiem kolejnego. Lubię wciąż patrzeć w przyszłość, czego i Państwu życzę.

Mój Gdańsk

W styczniu 1958 roku moi rodzice wprowadzili się do zdobytego mieszkania kwaterunkowego w Gdańsku-Oliwie przy ulicy Kwietnej. Cały ich dobytek stanowiły trzy walizki i wózek niemowlęcy, w którym leżałam ja. Miałam wówczas kilka tygodni. A to mieszkanie w kamienicy z 1898 roku miało pozostać moim domem rodzinnym przez prawie sześćdziesiąt lat. Teraz, po odejściu obojga rodziców, dalej tu mieszkam, oglądając ten sam przepiękny widok z okna na wzgórze Pachołek, które w zależności od pór roku mieni się różnymi kolorami. Z wykuszu wychodzącego na trzy strony świata widać trzy „obrazki”. Z lewej strony popołudniami ukazuje się zachodzące słońce (drzewa wciąż są te same, tylko wyższe i bujniejsze niż w dzieciństwie), w środkowym oknie ów Pachołek, a po prawej stronie dach katedry. Ten widok wraz z upływem czasu zmieniał się najbardziej – dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku umieszczono wieżyczki katedry na dawnych miejscach. Zmieniał się również ogród sąsiadów – kiedyś rósł tam ogromny krzew bzu, którego gałęzie tworzyły magiczne cienie odbijające się na ścianie. Patrzyłam na nie wieczorami, zasypiając. Każde okno służyło czemu innemu. To, przez które można było zobaczyć zachód słońca, wskazywało na porę dnia i najlepiej się tam uprawiało nicnierobienie w czasie deszczu. Okno środkowe – mimo że trudno dostępne, ponieważ stał tam fortepian – było niczym okno na świat, dawało poczucie wolnej, niczym nieograniczonej przestrzeni. Okno po prawej – zwłaszcza w dzieciństwie – służyło oczekiwaniu na powrót taty. Parapet zmieniał się w stolik, na nim stał talerz z pajdą chleba posmarowaną miodem, a mój nos był przyklejony do szyby tak długo, aż ujrzałam tatę, który zawsze wracał z pracy o tej samej porze. Szedł sprężystym krokiem z teczką

w ręku i w nieodłącznym kapeluszu na głowie. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam tylko kilka sprzętów: leżankę, stolik fasolkę, na którym stała lampa z fiszbinami, fotele sputniki i pianino – bardzo szybko zamienione na fortepian. A było tak: mama po wygraniu Międzynarodowego Konkursu Wokalnego w 's-Hertogenbosch otrzymała stypendium umożliwiające wyjazd do Włoch na studia wokalne do słynnej Accademia Nazionale di Santa Cecilia w Rzymie. Oczywiście chciała z niego skorzystać. Ojciec obiecał zająć się mną i domem. Z pomocą przyjechała babcia Salomea. Oprócz tego, że miała się mną opiekować, poproszono ją również o oszczędne gospodarowanie. Z tamtego okresu pamiętam więc pulpety i serki topione. Czasem zdarzała się legumina. Cóż to za piękne słowo i jaki smakowity deser! Zaoszczędzone przez rok pieniądze ojciec przeznaczył na kupno fortepianu. Nieopisana była radość mamy po powrocie z Rzymu, gdy w wykuszu dostrzegła fortepian firmy Feurich – o cudownym, śpiewnym tonie. Do dziś na nim ćwiczę i każdy dźwięk przypomina mi dawne czasy.

Oliwskie mieszkanie, latami zarządzane przez tatę, było oazą spokoju, choć bywało też miejscem spotkań z wieloma wybitnymi artystami, ludźmi, których poglądy i dokonania mnie kształtowały.

W niedalekim sąsiedztwie ulicy Kwietnej były dwa, a później trzy kościoły. Neogotycki, należący do zgromadzenia ojców cystersów, wewnątrz był cały biały, a przez to chłodny, ale w okresie Bożego Narodzenia stała w nim ruchoma szopka, która przyciągała dzieciaki z okolic. W tym kościele przez wiele lat, gdy organista brał urlop, w niedzielne poranki grywał mój dziadek Józef. Nie tylko grał, ale także mocnym tenorem intonował pieśni kościelne, porywając wiernych do śpiewu. To właśnie do cystersów chodziliśmy najczęściej. Natomiast katedra oliwska była od święta. Wspaniałe organy onieśmiały, a marmurowe posadzki, zwłaszcza zimą, dawały nieprzyjemny chłód. W dzieciństwie chodziłam tam z babcią Salomeą.

Owdowiawszy za młodu, musiała sama sobie radzić z samotnym wychowywaniem syna, a także z małym – ale jednak – domkiem jednorodzinny. W katedrze babcia pierwsze kroki zawsze kierowała do ołtarza z Matką Bożą Bolesną. Zabierała mnie tam ze sobą, a ja, gdy już sama ruszyłam w świat, w każdym kościele wypatrywałam piety.

W latach siedemdziesiątych został odnowiony mały kościół obok katedry pod wezwaniem św. Jakuba. Tam odbywały się msze dla młodzieży, którym towarzyszył zespół – były gitary i organy elektroniczne. Tam więc chodziło się wtedy w niedziele.

Oliwskie życie dyktowały odbywające się we środy i soboty targowiska. Zwykle to ojciec chodził po zakupy. Najbardziej lubiałam, kiedy wracał z targu w sierpniu. Obok wiktuałów – które pięknie układał w wiklinowym koszu – przynosił też bukiety ulubionych kwiatów – cynii i mieczyków, wspaniale prezentujących się potem na fortepianie. Z tego, co udało się kupić na targu, mama wyczarowywała pyszne, pachnące potrawy.

Inną atrakcją Oliwy był oczywiście słynny Park Oliwski. Jesienią zapraszający na buczynę, latem na skoki po kamieniach w rwącym potoku, a zimą na koncerty do Pałacu Opatów. To właśnie tam zagrałam jeden z pierwszych moich publicznych koncertów, wówczas towarzysząc jeszcze mamie.

Kiedy zdałam egzamin wstępny i zostałam zapisana do podstawowej szkoły muzycznej, moje rewiry powiększyły się o nowe miejsca i ulice Gdańska. Przez osiem lat pokonywałam tę samą trasę do szkoły: najpierw dojeżdżałam kolejką elektryczną, a potem pewien odcinek szłam pieszo, mijając po drodze hotel Orbis, sklep Wedla i sklep meblowy, docierając wreszcie na ulicę Gnilną. Na lekcje religii chodziliśmy do pobliskiego kościoła św. Bartłomieja. Czasem zdarzały się wypadki do Delikatesów na ulicę Rajska. Tuż obok mieścił się kościół św. Katarzyny, a także Ratusz Staromiejski i Wielki Młyn. Wycieczki nad Motławę, na ulicę Długą lub Mariacką

były rzadsze. Zdecydowanie częściej zaglądałam tam już podczas studiów, kiedy w akademiku na Chlebnickiej – w którym mieszkali studenci Akademii Sztuk Pięknych – regularnie odbywały się imprezy. Również w ramach studiów w Akademii Muzycznej część zajęć odbywała się w siedzibie ASP – w budynku Zbrojowni. Na naszych oczach dokonywały się renowacje kościołów św. Mikołaja i Mariackiego. Wyspa Ołowianka była jedną wielką ruiną. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nikt jeszcze nie myślał o tym, co mogłoby w tym miejscu powstać. Jeszcze w tomie opowiadań Pawła Huellego bohaterowie snuli się po nieuporządkowanych zaułkach starego miasta. Obraz spokojnego, bezpiecznego Gdańska trwał w mojej głowie do czasu wydarzeń grudniowych 1970 roku. Kiedy podczas rozruchów z powodu utrudnionej komunikacji miejskiej mój tata szedł pieszo z Oliwy, żeby odebrać mnie ze szkoły – będącej w oku cyklonu – na wiadukcie przy placu Zebrań Ludowych przestrelono mu kapelusz... Powiało grozą. Ludzie dookoła mówili szeptem, wieczorami dobiegały do mojego kącika urządzonego w pokoju rodziców strzępy audycji Radia Wolna Europa, dzięki którym dowiadywaliśmy się prawdy o tym, co się działo w kraju.

Na czas nauki w szkole średniej powróciłam w bardziej mi znane okolice – bliższe domu – ponieważ uczyłam się do V Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego, położonego przy ulicy Polanki w Oliwie. Niestety, ponieważ jednocześnie byłam uczennicą średniej szkoły muzycznej (mieszczącej się w budynku dawnej synagogi przy ulicy Partyzantów we Wrzeszczu), w gdańskiej „Piątce” wytrwałam tylko półtora roku. Z tego czasu wywodzą się jednak moje wspaniałe, trwające do dziś przyjaźnie. Właśnie wtedy trafiły mnie pierwsze strzały Amora. To tam posiadałam wiedzę dotyczącą nieartystycznego życia. Maturę zdałam natomiast w liceum korespondencyjnym, za to pół roku wcześniej niż moi rówieśnicy, co dało mi szansę na lepsze przygotowanie się do studiów muzycznych.

W 1976 roku ponownie znalazłam się w budynku szkoły, u zbiegu ulic Gnilnej i Łagiewniki w Gdańsku, gdzie na ostatnim piętrze mieściła się Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, przemianowana później na Akademię Muzyczną im. Stanisława Moniuszki. Dyplom zagrałam w marcu 1981 roku, przedtem zostając laureatką krajowych i międzynarodowych konkursów muzycznych. Kiedy przed Konkursem Chopinowskim wracałam z mamą z kursu w Dusznikach, jak zawsze przesiadając się w Gdańsku Głównym na kolejkę elektryczną, w pociągu panował specyficzny nastrój. Na stacji Gdańsk-Stocznia wszystkie oczy skierowane były na bramę główną. Ojciec, który witał nas na Dworcu Głównym, ściszym głosem opowiadał nam o tym, co się wydarzyło. Przez następne dni znów wieczorami słuchaliśmy Radia Wolna Europa, kibicując strajkującym robotnikom. Nad wszystkim jaśniała postać Lecha Wałęsy.

Od razu po uzyskaniu dyplomu na dłużej wyjechałam z Polski, by kontynuować studia rozpoczęte w Hamburgu w 1978 roku. Później, gdy założyłam już swoją rodzinę, zamieszkałam w Warszawie. Powroty do Gdańska zawsze były dla mnie radością. Za każdym razem zauważałam w nim ogromne zmiany. Filharmonię przeniesiono na Ołowiankę, dzięki czemu zyskała wspaniałą nową siedzibę. Wraz z Kwartetem Śląskim zagrałam jeden z pierwszych koncertów w świeżo odremontowanym Dworze Artusa, w którym wprawdzie udało się ustawić fortepian, ale nie było jeszcze posadzki, więc ziąb był tak przeszywający, że musiałam pożyczyć od mamy ciepłą etolę, żeby móc dograć kwintet Dvořáka. Pamiętam też czasy, kiedy koncerty odbywały się w Ratuszu Głównego Miasta – w odnowionej Sali Białej. Właśnie tam na początku lat osiemdziesiątych odbył się jubileusz dwudziestopięciolecia pracy artystycznej mojej mamy, w którym miałam zaszczyt uczestniczyć. Stopniowo zmian w Gdańsku było coraz więcej: dogodne drogi dojazdowe, nowe instytucje kultury, czuło się rękę gospodarza tego miasta. W pewnym momencie na

mój warszawski adres zaczęły regularnie przychodzić życzenia świąteczne podpiswane przez prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Czułam, że choć z dala, to jednak cały czas jestem gdańszczanką. Przyznanie mi przez prezydenta w 2007 roku Nagrody Neptuna sprawiło mi wielką radość. Na uroczystość wręczenia przyjechałam z moją młodszą córką, w sali Dworu Artusa oczywiście obecni byli też moi rodzice. W podobnym towarzystwie świętowaliśmy później pięćdziesiątą rocznicę ich ślubu. Z tej okazji znowu spotkaliśmy się w Sali Białej ratusza, był tam również prezydent Paweł Adamowicz. Coraz częściej myślałam o powrocie do tego miasta – otwartego w przenośni i dosłownie. Miasta, które mnie ukształtowało i dało podstawy na całe życie, do którego tęskniłam z każdego zakątka ziemi. Nadszedł rok 2016. W listopadzie odszedł mój ojciec, mama nie mogła zostać sama, trzeba było na nowo zorganizować jej życie. Mieszkanie na Kwietnej opustoszało. Postanowiłam przeprowadzić w nim remont, myśląc o swoim powrocie. Od 2017 roku wracam ze świata do Gdańska – do siebie. Chodzę tymi samymi ulicami, wchodzę do tego samego budynku poczty, robię zakupy na targu – wprawdzie już nie takim jak kiedyś, ale kasztany się ostały... I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie styczniowe wydarzenia z 2019 roku, które z jednej strony jeszcze bardziej umocniły moje poczucie przynależności do tego miasta, z drugiej zasiały we mnie pewien niepokój. Stojąc z przyjaciółmi na ulicy Długiej owego pamiętnego wieczoru 14 stycznia, czułam, że tu jest moje miejsce.

Potem, gdy kondukt pogrzebowy zmierzał ulicami Gdańska do kościoła Mariackiego, wsłuchiwałam się w bijące dzwony. Dzwony mojego miasta. I ani przez chwilę nie pomyślałam, że trzeba stąd wyjechać, przeciwnie! Tego samego roku 30 stycznia odeszła moja mama...

Nasze miejsce jest tam, gdzie groby naszych bliskich. Chodzę więc na ten sam cmentarz co zawsze – Cmentarz Oliwski – gdzie od dziecka zapalałam znicze na rodzinnym grobie.